

Ostatnie dźwięki?

Jeszcze rok będę tu robił festiwal. A potem mam nadzieję, że nie będę musiał kolejny raz udowadniać, że Soundedit ma ogromny potencjał. Nie da się przecież robić tak wielkiej imprezy przy tak niskim budżecie – mówi MACIEJ WERK, muzyk, producent, dyrektor festiwalu Soundedit, który odbywa się w Łodzi w dniach 24-25 października.

Justyna Muszyńska-Szkodzik: - Międzynarodowy Festiwal Producentów Muzycznych Soundedit odbywa się już po raz szósty. Kto będzie gwiazdą tej edycji?

Maciej Werk: – Nigdy nie chciałem określać, kto jest najważniejszym gościem festiwalu. Kiedy trzy lata temu wymyśliłem hasło: „I Am The Sound” – „jestem dźwiękiem”, okazało się, że to jest esencja naszej imprezy, bo podmiotem jest dla nas każdy wrażliwy na muzykę człowiek. Jeśli jednak miałbym stopniować emocje, to cieszę się, że po sześciu latach starań przyjedzie John Cale, były członek Velvet Underground i znakomity producent. Pojawi się także Karl Bartos, prawdziwy muzyczny „robot”. Fani Kraftwerk z pewnością znają na pamięć płyty, jakie Karl nagrał z tą legendarną niemiecką grupą. Przyjedzie również Patrick Wolf, który sam zgłosił chęć zagrania na festiwalu. Będzie zespół Laibach, który tym razem w swych industrialnych inspiracjach sięgnął do historii Polski.

Laibach zawsze bierze na warsztat trudne tematy, zrobił „przeróbkę” powstańczej piosenki „Warszawskie dzieci”. Czy ten sposób śpiewania o historii trafia do Polaków?

– Laibach wydał płytę pt. „1 VIII 1944. Warszawa”, nad którą objęło mecenat Narodowe Centrum Kultury i po raz pierwszy i jedyny zagra piosenki z tego albumu na koncercie w Łodzi. Dla Słoweńców był to pretekst do stworzenia opowieści, która wykracza poza samo powstanie. W piosenkach słychać echa tego, co w tym czasie śpiewali Polacy, Żydzi, i co było „na topie” w III Rzeszy. Laibach to legenda. Zespół po raz pierwszy przyjechał do nas za czasów głębokiej komuny, w latach 80. i już wtedy podbił serca Polaków. Oni są nie tylko muzykami, ale także grupą artystyczną, interesują się historią, sztuką, są merytorycznie przygotowani, by podejmować takie tematy.

W tym roku statuetkę „Człowieka ze Złotym Uchem” otrzyma m.in. Lech Janerka...

– Lech Janerka zawsze był dla mnie jednym z najważniejszych polskich artystów, najlepszym autorem polskich tekstów, jego piosenki to prawdziwe słowne i językowe rewolucje. Artysta dostanie statuetkę za „szczególną wrażliwość muzyczną oraz kunszt słowa”. Nagroda dla niego jest związana też z tym, że dołączyliśmy do akcji „Ojczysty dodaj do ulubionych”, organizowanej w ramach programu Narodowego Centrum Kultury.

Jordan Reyne poprowadzi podczas festiwalu warsztat „Koncerty w cyberprzestrzeni...”. Czy Internet nie zabija potrzeby przeżywania koncertów live?

– Głos Jordan Reyne znamy z filmowego „Władcy pierścieni”. Artystka wdraża teraz projekt „Gigs In Space” propagujący granie koncertów w domu i namawia muzyków do łączenia koncertów z występami w Internecie. Sam jestem tradycjonalistą, wolę pójść na koncert. Unikam używania komputera do słuchania muzyki. Mam dużą kolekcję płyt DVD z koncertami, ale ostatnio nie bawi mnie ich oglądanie. Jako artysta jestem zaniepokojony tym, że wszystko można znaleźć na YouTube czy Spotify, bo są to portale, które nie płacą lub płacą minimalne pieniądze twórcom.

Producent muzyczny to w Polsce niedoceniany zawód, jaki powinien być dobry producent?

- Producent to teraz nadużywane słowo. Każdy, kto ma komputer, może realizować nagrania muzyczne i wtedy nazywa siebie producentem. Rozwój technologii paradoksalnie spowodował obniżenie jakości produkcji, bo każdy ma dostęp do czegoś, co wcześniej było elitarne. Jeszcze 15-20 lat temu wejście do studia muzycznego było jak przekroczenie progu świątyni, a dziś można sobie tę świątynię otworzyć w komputerze lub w telefonie. Często, słuchając dobrej muzyki, nie zdajemy sobie sprawy, kto za nią stoi, jaka osobowość ją tworzy. Producent musi mieć wycucie i talent psychologa, bo nie jest łatwo kierować zespołem, który składa się z samych indywidualności. Niedościągłym przykładem jest sir George Martin, który wyprodukował czterech chłopaków z Liverpoolu i, jak dla mnie, nikt go do tej pory go nie przebił.

Jakich polskich producentów cenisz?

- Lista jest całkiem długa: Andrzej Smolik, Adam Toczko, Bartek Dziedzic, Artur Rojek, Marcin Bors, Leszek Biolik. Pracowałem też z fantastycznymi ludźmi, którzy nie są bardzo znani, np. Leszek Kaźmierczak z Łodzi, który współprodukował kilka utworów z mojej ostatniej płyty „Songs That Make Sense”.

Znaliśmy Werka z łódzkiej grupy Hedone, znamy z solowej płyty „Songs That Make Sense”. Czy szykujesz coś nowego?

- Mam wiele pomysłów, ale płyta rodzi się w bólach, i to jest moment, kiedy przydałby mi się producent. W Polsce muzyka przestała być biznesem, swoją ostatnią płytę zrobiłem dla siebie, tak jak zresztą i pierwszą. Mam przyjaciół muzyków, którzy chcą się zaangażować w kolejny projekt, więc na pewno coś razem zrobimy.

Co jest na topie twojej dyskografii?

- To jest zarazem trudne i bardzo proste pytanie. Gdybym miał wymienić jednego wykonawcę, to na pewno The Beatles. Ostatnio powracam do Kraftwerk - Neu, Le Düsseldorf. Nowości raczej do mnie nie trafiają. Mam wrażenie, że wszystko już było.

Ciągle powstają nowe zespoły, młodzi ludzie mają „parcie na szkło”. Na jakie odkrycia muzyczne stawiasz?

- Mieszkam przy ul. Piotrkowskiej i często słucham młodych ludzi, którzy grają na ulicy, a to, co słyszę, jest dramatycznie słabe. Inaczej jest w Berlinie, Amsterdamie, np. w Londynie na Portobello słyszałem kogoś, kto śpiewał piosenki Oasis lepiej niż Oasis. Jurek Owsiak powiedział mi ostatnio mądre zdanie, że edukacja muzyczna została zabita przez szkolnictwo, i to jest prawda. Z kolei programy talent show dają iluzoryczną wizję, że każdy może zostać gwiazdą. Chciałbym, żeby coś mnie muzycznie ujęło w tym młodym pokoleniu. W życiu zdarzyło mi się tylko dwa razy pracować z wyjątkowymi, młodymi talentami. Pierwszy raz, kiedy 15-letnia dziewczyna przysłała mi swoje demo - i to była Pati Yang, a drugi, kiedy dostałem demo zespołu Orchid, którego wokalistką była Natalia Fiedorczuk.

Czy Łódź to dobre miejsce dla artysty do życia i tworzenia?

- To zależy z kim się żyje i jak się żyje. Lokalny patriotyzm minął mi jednak wiele lat temu. Jestem zadowolony, że udaje mi się tu robić festiwal. Jeszcze rok będę go tu robił na pewno. A potem mam nadzieję, że nie będę musiał kolejny raz udowadniać, że Soundedit ma ogromny potencjał. Nie da

się przecież robić tak wielkiej imprezy przy tak niskim budżecie.